Na razie jeszcze w pracowni

To jest więcej niż pewne, że jeśli w Poznaniu mówimy o odbudowie, to najpierw myślimy o Starym Rynku. Kochamy przecież naszą „Starówkę" i pragniemy bardzo, by odbudowana i zrekapitulowana według historycznych danych — zabłysnęła całym pięknem architektonicznym i polichromicznym. Wymaga tego wspaniała budowla pana di Quadro... i nasze gorące pragnienie, by Poznań stał się wielkim i pięknym miastem.

Wizja „nowego" Starego Rynku w Poznaniu przybiera coraz to realniejsze kształty. Największe natężenie prac widoczne jest jeszcze w pracowniach artystów malarzy, którzy zgrupowani w zespole, opracowują projekt koncepcyjny Zbigniewa Bednarowicza.

Z ogromnym zainteresowaniem śledzimy wszyscy dyskusję na łamach poznańskiej prasy o „wystroju" Starego Rynku; czytamy wypowiedzi architektów, rzeźbiarzy, plastyków, specjalistów z przekonaniem, że pomogą one jak najlepszemu rozwiązaniu przywrócenia dawnego wyglądu Staremu Rynkowi.

Chodzi tu o połączenie dwu postulatów: uzyskanie artystycznego piękna tej pamiątkowej dzielnicy i jej dzisiejszej, użytkowej przydatności. Nie wątpimy, że i o tej drugiej stronie tego samego medalu — pamiętać będą zespoły architektów, planujące zabudowę zniszczonych przez wojnę budynków.

Chwilowo nie pozostaje nic innego — jak życzyć naszym mistrzom „zabytkowej odbudowy" pełnego powodzenia w pracy.

Na zdjęciu umieszczonym obok widzimy od lewej — projektodawcę wystroju barwnego kamieniczek — Zbigniewa Bednarowicza, a dalej — od lewej — artystów-plastyków Oźmina, Bartoszewicza, Matuszewskiego, Oźminową i Haskę. Odbywają właśnie jedną z warsztatowych dyskusji. (thn)

Fot. Z. Zielonacki

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU"

Niedziela 3 IV 1955

Rok VI Numer 14

Zródło złotego runa

Zadajemy sobie pytanie, dlaczego przy dawaniu jednakowej paszy w tych samych warunkach hodowli jedna krowa daje więcej, a inna mniej mleka. Dlaczego niektóre wyborowe gatunki kur odznaczają się wielką nośnością jaj? Dlaczego cienkowełnista owca daje więcej sierści, a inna pod niebogatym futrem gromadzi znaczny zapas tłuszczu? Wreszcie dlaczego jedne pokarmy zwiększają produkcyjność zwierząt, a na inne ta sama pasza nie wywiera wpływu.

Zagadnienia te od dawna zaprzątały umysły uczonych i praktyków. Długoletnie doświadczenia i badania podsuwały odpowiedź, że widocznie różnic doszukiwać się należy we właściwościach przemiany materii każdego żywego stworzenia. Jak wiadomo pokarm składa się z węglowodanów, białka, tłuszczów, części mineralnych i witamin. Jaką drogę przechodzą one w organiźmie i jaka jest ich rola wzięta oddzielnie? Gdybyśmy potrafili prześledzić ich wędrówki we wnętrzu organizmu i wykryć ich skomplikowane skojarzenia poznalibyśmy tajemniczy proces przemiany materii. Lecz nauka natrafiała dotychczas na trudności, których nie mogła pokonać.

Tak było dotąd, lecz obecnie człowiekowi z pomocą przyszła energia atomowa. Okazało się, że pokonać te trudności można, poddając każdą substancję działaniu promieniotwórczych izotopów, od chwili wejścia do organizmu, aż do czasu wydalenia.

„Znaczone" atomy jako metoda badawcza w biologii zaznaczyły się tym, że całkowicie obaliły przestarzałe, zakorzenione pojęcia o przemianie materii. Dawniej sądzono, że pokarm przyjmowany przez organizm zasadniczo idzie na uzupełnienie zapasów energii i tylko w minimalnej części na regenerację tkanek. „Znaczone" atomy wykazały proces wręcz odwrotny. W organiźmie stale dokonuje się wielka przebudowa. Świeże produkty organizmu w swym skomplikowanym laboratorium chemicznym przemienia w materiały budowlane, a zużyte części „konstrukcji" przekazuje do „spalenia", w wyniku czego powstają zapasy energii. Dość powiedzieć, że białko wątroby zmienia się w 50 proc. w ciągu 8 dni, a białko mięśni ulega zamianie w 50 proc. w ciągu 80 dni.

Nowe dane o przemianie materii pozwalają opracować bardziej celowe sposoby odżywiania. Obecnie z całą dokładnością ustalono rolę mineralnych związków w syntezie skomplikowanych organicznych substancji. Wykazano, że fosfor i wapień biorą bezpośredni czynny udział w „przygotowaniu" mleka. Stąd wniosek, że dobierając odpowiednia paszę można uzyskać zwiększenie mleczności krów.

Nadzwyczaj ciekawy okazał się proces tworzenia się w organiźmie zwierząt przeżuwających witaminy B_{12} z mineralnych soli kobaltu. Wyjaśniło się, że w wypadku zapadnięcia zwierzęcia na specjalną formę niedokrwistości z powodu braku kobaltu, nie potrzeba wprowadzać do organizmu gotowej witaminy. Wystarczy dać organizmowi dostateczną ilość kobaltu, a on sam przerobi go w cenną witaminę. Udało się również zbadać warunki oddziaływujące na bardziej intensywne wytwarzanie się witaminy B_{12}. Zagadka właściwości gatunków zwierząt była jedną z najciekawszych. Tak np. jakim właściwościom organizmu zawdzięcza cienkowełnista owca swą wspaniałą sierść? „Znaczone" atomy dały na to odpowiedź.

Związki siarki odgrywają, jak wiadomo, wielką rolę w tworzeniu się uwłosienia. Cienkowełniste owce związki siarczane długo zatrzymują w organiźmie i maksymalnie zużywają dla porostu gęstej sierści.

Wykrywając zasadnicze procesy w organizmach zwierząt domowych możemy więc bardziej skutecznie oddziaływać na podniesienie produkcyjności i uszlachetniać gatunki zwierząt domowych.

Tłum. z ros. F. H.

„Dziennik lat wojennych" wielkiego pisarza

Romain Rolland przywiązywał wielkie znaczenie swego „Dziennika lat wojennych" — zbioru notatek i dokumentów o wojnie w późniejszych latach swego życia, kiedy wiele zmieniło się w jego pozycji i kiedy z myśliciela, stojącego „ponad starciem" — przekształcił się w aktywnego bojownika przeciwko faszyzmowi, o lepszą przyszłość narodu francuskiego i wszystkich narodów świata.

Romain Rolland opublikował jedynie niewielkie urywki ze swego „Dziennika lat wojennych". Uważał jednak za niezbędne w przyszłości dokonać pełnej publikacji tego dzieła i, licząc się z możliwością nowej wojny, przedsięwziął szereg środków, aby zapewnić — jak się wyraził — „długotrwałość swego świadectwa historycznego".

W czerwcu 1929 r. oryginalne zeszyty „Dziennika lat wojennych" w zapieczętowanych pakietach złożone zostały przez pisarza w Uniwersytecie Bazylejskim (Szwajcaria). Oprócz tego były zamówione cztery kopie maszynowe, sprawdzone, poprawione i podpisane przez autora. W listopadzie 1934 r. Romain Rolland zwrócił się listownie do dyrektora Biblioteki Państwowej im. Lenina w Moskwie, powiadamiając go o swym zamiarze przesłaniu bibliotece jednej z kopii „Dziennika". Dwie inne kopie były powierzone bibliotece uniwersytetu w Harward (USA) i bibliotece Instytutu Nobla w Sztokholmie (Szwecja).

„Cztery wymienione biblioteki (Bazylea, Moskwa, Harward i Instytut Nobla) — pisał Romain Rolland w swym liście — zobowiązują się przechowywać zapieczętowane pakiety z zeszytami i kopiami „Dziennika" jakie zostały im wręczone, aż do 1 stycznia 1955 roku (tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego). W tym dniu są one uprawnione do otwarcia zapieczętowanych pakietów i udostępnienia ich naukowcom, którzy będą mogli wykorzystać je dla swych prac naukowych i literackich".

Biblioteka im. Lenina otrzymała prawo po otwarciu „Dziennika" wydać go w językach narodów ZSRR.

Biblioteka moskiewska zgodziła się na warunki pisarza i wkrótce potem, za pośrednictwem delegacji radzieckiej przy Lidze Narodów w Genewie, pisarz przesłał pakiety z „Dziennikiem".

Każdy pakiet był owinięty w dwa papiery — zewnętrzny papier, biały, był przewiązany sznurkiem i nosił na sobie napis z adresem Biblioteki im. Lenina i informację o zawartości pakietu. Wewnętrzny papier, żółty, był opieczętowany lakiem i pieczęcią Romain Rollanda, a napis wskazywał nie tylko na to, jakie pakiet zawiera zeszyty, ale również i termin 1 stycznia 1955 r., do którego pakiety nie mogą być otwierane.

W ciągu 25 lat, zgodnie z wolą pisarza, pakiety były przechowywane nienaruszone w safesie biblioteki.

1 stycznia 1955 r. zostały odpieczętowane i nastał czas zaznajomienia się z treścią „Dziennika lat wojennych".

W egzemplarzu przechowywanym w Bibliotece im. Lenina tekst wszystkich 29 zeszytów zawiera 2650 stron maszynopisu z ręcznymi wstawkami i poprawkami autora.

Sporządzone przez bibliotekę fotokopie pozwalają podjąć jednocześnie i prace naukowo-badawcze, i prace przygotowujące wydanie rosyjskie dzieła.

S. ŻYTOMIRSKA
kierowniczka oddziału rękopisów Biblioteki Państwowej im. Lenina w Moskwie

Pierwsza decyzja „obrońców" wolności

Wojna, rozpoczęta rzekomo dla zgniecenia imperializmu pruskiego, nie jest jeszcze zakończona, a już podnosi się bardziej potężny potwór — imperializm brytyjski. Lloyd George, ten nowy Cromwell, nie zadaje sobie nawet trudu udawania. W swej mowie w Gildhall w Londynie, gdzie właśnie otrzymał tytuł honorowego londyńczyka, głosi on „przejście do nowej polityki imperialnej", która stworzy z nieobjętych posiadłości brytyjskich, na których nigdy nie zachodzi słońce — „silne imperium", wzmocnione protekcjonizmem imperialistycznym, posiadające najpotężniejszy monopol ekonomiczny, jaki można było sobie kiedykolwiek wyobrazić, „scementowany w jeden blok" jednolity i przerażający. To, o czym Cecil Rodes i Chamberlain ledwie śmieli marzyć w tajemnicy, Lloyd George urzeczywistnia jawnie, samowładnie, w wirze wojny narodów, wiedząc dobrze, że trzy czwarte świata, ogarnięte i zniszczone przez tę zbrodniczą wojnę — znajduje się w jego władzy i musi zachować milczenie.

— A cóż powiedzieć o tych Stanach Zjednoczonych, które przystąpiły do wojny w imię sprawiedliwości i wolności narodów ujarzmionych, ale których pierwszym aktem było — skazanie na głód małych państw, aby zmusić je do porzucenia neutralności...

(„New York, 29 kwietnia. Komisja ustawodawcza dla spraw handlu przedstawiła prezydentowi Wilsonowi i rządowi projekt reglamentacji, dotyczących handlu z nieprzyjacielem, a także plan wyjątkowo surowej kontroli eksportu do Szwajcarii...").

Wojna ta zatruwa najlepsze zamiary. Już obecnie przewiduję, jak ci amerykańscy idealiści będą się przerażać z jeszcze większą furią niż „Realpolitiker".

XX zeszyt. Wiosna 1917 roku.

Świętoszkowie waszyngtońscy

Rząd Stanów Zjednoczonych, równie skromny jak szczery, donosi w depeszy z Waszyngtonu przez paryskie wydanie „New York Herald" o tym, że „rewolucjoniści rosyjscy" całkowicie ufają Stanom Zjednoczonym, uważając je za jedyne mocarstwo, które przystąpiło do wojny zupełnie bezinteresownie". Myślę, że trudno zajść dalej w bezwstydzie i hipokryzji. Nie wystarcza im zgnieść rewolucję rosyjską, zmusić Rosję pod groźbą głodu do rzucenia siebie na pastwę wojny, której ona nie chce. Ci Tartuffe'owie z Białego Domu i Wall Street chcą jeszcze, aby ich ofiary wydały im dyplom szlachetności i bezinteresowności.

XXII zeszyt. Lato 1917 roku.

Dyktat „przyjaźni" — „Ameryka komenderuje wszystkim"

Rewolucyjna Rosja daje schwytać się w pułapkę wojny. Kiereński, który odgrywa tę samą rolę, co nacjonalistyczna socjalburżuazja we Francji, Anglii i Włoszech, prowadzi kraj do dyktatury. Lenin wykazuje w „Prawdzie", że ofensywa rosyjska — to owoc usiłowań posła angielskiego, Amerykanina Ruthа i przede wszystkim gróźb Wilsona, który ustalił dokładną datę ofensywy; wystarczy naruszyć ją — a pertraktacje finansowe między Rosją a Ameryką będą przerwane. Obecnie mam wrażenie, że Ameryka komenderuje wszystkim. Ma ona w rękach złoto i chleb. Europa musi walczyć albo umrzeć śmiercią głodową. Wkrótce taki interes będzie zaproponowany również krajom neutralnym: albo wystąpić po stronie sojuszników, albo jeszcze mocniej zacisnąć pasa. Tylko tym ukrytym, groźnym naciskiem mogę sobie wytłumaczyć zachowanie parlamentu francuskiego, który spróbował oburzyć się, a następnie prawie jednomyślnie głosuje za rządem i za wojną do zwycięskiego końca. Oczywiście Francja, spustoszona przez wojnę, puszy pogrążona w długach, zginie w skrajnej nędzy, jeśli Anglia i Ameryka pozbawią ją pomocy finansowej. Jednakże pomoc tę godzą się jej okazać, jedynie za cenę całej jej krwi. Jeśli wojna się przeciągnie, przyjmie ona charakter walki między dwiema katorgami, kiedy narody, przykute do galer, będą zmuszone do wzajemnego wyniszczenia się — jeden przez swą wojskową i arystokratyczną kastę, a drugi (co jeszcze gorsze) — przez kastę pieniędzy i rządy obcych mocarstw.

XXII zeszyt. Lato 1917 roku.

Czy się zmienili?

Tak więc ci mali tyrani, tępi, otoczeni nienawiścią — odrzucają wszelką możliwość zaprzestania wojny, zmniejszenia i ograniczenia jej okropności. I wszystko to czynią własną władzą, nie pytając nikogo o radę — lub nawet wsadzając do więzienia tych, którzy chcą się zorientować w sytuacji. Czy widzieliście kiedykolwiek despotyzm bardziej pogardzający wolnością i życiem obywateli? I jeszcze chcą, abym ja stanął po stronie takich republikanów w ich walce przeciwko monarchii. Wszyscy oni są siebie warci. Ale łżą republikanie więcej.

XXIV zeszyt. Wiosna 1918 r.

Tam wschodzi słońce

Trzeba się obawiać, aby nasz kraj po wojnie nie okazał się w stanie upadku duchowego, wywołanego jego bohaterskimi stratami i niespełnionymi iluzjami. Nakazem chwili jest wyrwać go z niewoli daremnych wyrzutów, bezpłodnego i tragicznego zamykania się w samym sobie. Trzeba na nowo wzbudzić w nim żar śmiałych poszukiwań, zdobyczy ducha.

Głosów, głoszących krach będzie niemało na Zachodzie. Niech Francja nie da się nimi zdławić. Niech patrzy na Wschód. Właśnie z tej strony wzejdzie słońce przyszłości...

XXIV zeszyt. Lato 1918 roku.

Demokracja po amerykańsku

Wszystko w Stanach Zjednoczonych jest jak gdyby stworzone po to, aby dotknąć najlepszych uczuć Japończyków: nieprawdopodobny nadmiar hałasu, ruchu, ordynarności, samochwalstwa; niemożliwa jest jakakolwiek wymiana poglądów, ponieważ rozmówca amerykański nawet was nie słucha, skoncentrowany wyłącznie na swej myśli lub na swym braku myśli; on twierdzi, twierdzi, powtarza twierdzenie wobec braku dowodów i koniec końców umacnia się w przekonaniu, że rozbił swego przeciwnika. Despotyczna buta klasowa, która stawia Murzynów poza nawiasem prawa i stale trzyma tych nieszczęsnych pod groźbą pastwienia się, jeśli już nie niewolnictwa i lynchu. Kobiety są równie głęboko przeniknięte tą butą jak i mężczyźni. Naruzo mówi: „Ta tak zwana demokracja, która ma stale na ustach słowa o republice i wolności, jest nie o wiele bardziej republiką i demokracją niż nasza Japonia". A następnie — ta całkowita niezdolność rozumienia innych narodów, ta niezachwiana wiara w to, że oni wszystko wiedzą i przy tym — lepiej niż inni, że oni niosą innym narodom, wbrew ich życzeniu, dobrobyt i szczęście...

Myślę, że los zadziwiająco umiejętnie szykuje scenariusz przyszłej tragedii narodów. Zaczyna on od tego, że przygłusza chór państw europejskich, stawiając go pod panowanie Ameryki, która po wojnie będzie odgrywała i w tym chórze rolę Koryfeusza...

XXV zeszyt. Lato 1918 roku.

W dni Wersalu

Morrison (amerykański dyplomata na paryskiej konferencji pokojowej — przyp. red.) opowiedział mi maleńki epizod: Pewnego razu na posiedzeniu czwórki, Lloyd George wygłaszał przemówienie, które przerwał mu jakąś uwagą jego sekretarz. Prezydent Wilson, myśląc, że Lloyd George skończył, zaczął przemawiać. W tym momencie Lloyd George dość głośno powiedział do sekretarza: „Proszę mi nie przerywać". I natychmiast zorientował się, że Wilson mógł przyjąć to zdanie pod swoim adresem. Lloyd George zarumienił się po same uszy i zwrócił się do Wilsona z przeprosinami w niezwykle uniżonym tonie.

XXIX zeszyt. Lato 1919 roku.

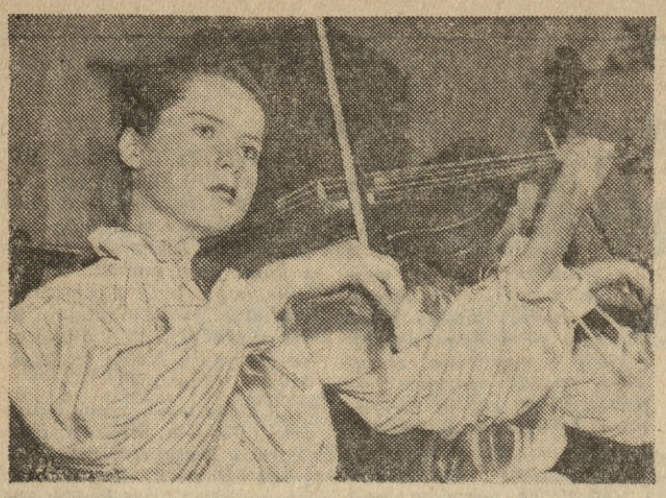

Powszechność nauczania muzyki pozwala rozwinąć kulturę muzyczną. Ta młodziutka skrzypaczka jest członkiem dziecięcej kapeli w niewielkiej wsi. Zespół ten zajął rok temu trzecie miejsce w konkursie ogólnopolskim.

Kilka informacji o naszym szkolnictwie muzycznym

Baza młodych wirtuozów

V Międzynarodowy Konkurs Chopinowski, obecność w naszej stolicy wielu zagranicznych gości wzbudziła zrozumiałe zainteresowanie organizacją kształcenia muzycznego naszej młodzieży, tym bardziej że nie jest to pierwsza impreza, w której brała udział ekipa studentów naszych wyższych szkół muzycznych. Poważne sukcesy przyniósł nam poprzedni Konkurs Chopinowski w 1949 roku (Czerny-Stefańska, Hesse-Bukowska) i Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. Wieniawskiego w 1952 r. (Wanda Wiłkomirska, Edward Statkiewicz). Wiele osiągnięć muzycznych wykazał I Festiwal Wyższych Szkół Artystycznych w 1949 r. i Międzyszkolny Konkurs Bachowski w 1950 r. w Poznaniu. Ekipy studentów i absolwentów o wszystkich niemal specjalnościach brały udział w międzynarodowych konkursach w Berlinie, Paryżu, Genewie, Pradze, Bukareszcie uzyskując szereg nagród i odznaczeń. Wielu spośród absolwentów i aspirantów koncertowało na wielkich zagranicznych estradach, między innymi w Związku Radzieckim i w Chińskiej Republice Ludowej.

Uczelnie muzyczne zajmują najpoważniejszą ilościowo pozycję w całym polskim szkolnictwie artystycznym. Ogromny rozrost tego szkolnictwa datuje się od roku 1945, to jest od momentu, kiedy kulturą i sztuka zaopiekował się rząd Polski Ludowej, która szeroko otworzyła możliwości kształcenia się w muzyce dzieciom robotniczym i chłopskim, a więc tym ludziom, którzy dotychczas stali z dala od dobrodziejstw kultury. W nowej rzeczywistości skończyliśmy z elitarnością sztuki, z kultywowaniem jej dla drobnej części społeczeństwa.

Kierownicy polityki kulturalnej, zdając sobie sprawę z błędów przedwojennego szkolnictwa muzycznego, które cechowała chaotyczność programowa i elitarność, przystąpili niezwłocznie do prac nad jego reformą. Jednakże w pierwszych latach było to zadanie wyjątkowo trudne. Brak szczegółowych programów lub konieczność eksperymentowania opóźniały prace, a trudności lokalowe i brak pedagogów odsunęły dokończenie reformy do 1950 roku.

Analiza doświadczeń pierwszych pięciu lat, osiągnięć, zwłaszcza w dziedzinie wirtuozerii; natomiast braków programowych, głównie w dziedzinie kształcenia teoretycznego i kształcenia instruktorów, ułatwiła przeprowadzenie konkretnej reorganizacji szkół w ciągu następnych lat.

Ustaliły się więc w szkolnictwie muzycznym zaprojektowane już w 1945 r. trzy stopnie szkół, przy czym każdy stopień stanowi jak gdyby zamkniętą całość. Szkoła niższa prowadzi dwa działy: a) siedmioletni dział dla dzieci (rozpoczynać mogą w tym dziale naukę gry na fortepianie lub skrzypcach dzieci w wieku 7—10 lat), b) pięcioletni — dla młodzieży i dorosłych (rozpoczynać może w tym dziale naukę gry na wszystkich instrumentach młodzież od lat 11 i dorośli do lat 30). W ostatnich latach uczniowie działu dziecięcego mogą obierać również i inne instrumenty poza fortepianem i skrzypcami. Obok umuzykalnienia, rytmiki i kształcenia słuchu prowadzi się w tej szkole zespoły muzyczne dziecięce lub młodzieżowe oraz audycje muzyczne z pogadankami lub lekcje słuchania muzyki. Szkołą pierwszego stopnia jest również podstawowa szkoła muzyczna, która realizuje siedmioletni program muzyczny jak w niższej szkole muzycznej oraz pełny program ogólnokształcącej szkoły podstawowej.

O ile niższa szkoła muzyczna czy szkoła podstawowa jest uczelnią przysposobienia zawodowego, to szkoła średnia czy pięcioletnie liceum muzyczne jest szkołą zawodową. Uczelnia tego typu kształci w grze na wszystkich instrumentach i w śpiewie, a na oddzielnych wydziałach przygotowuje instruktorów muzycznych do ruchu amatorskiego oraz nauczycieli rytmiki.

Wyższe szkoły muzyczne kształcą wirtuozów, kompozytorów, teoretyków i dyrygentów oraz nauczycieli i instruktorów. Program wyższej szkoły obejmuje odpowiedni do każdej specjalności zakres teoretycznych przedmiotów, między innymi przedmioty ideologiczne: podstawowe zagadnienia marksizmu-leninizmu i estetykę marksistowską. Najszerzej zorganizowana jest siedmiowydziałowa Wyższa Szkoła Muzyczna w Warszawie, mająca przekształcić się w przyszłości w akademię muzyczną. Klasy kompozycji prowadzone są w uczelni warszawskiej przez Kazimierza Sikorskiego i Tadeusza Szeligowskiego. Głównym opiekunem poważnie rozwijającego się wydziału teorii jest dr Stefan Śledziński. Dyrygenci znajdują się przede wszystkim pod opieką Waleriana Bierdiajewa. Wydział ten podzielony jest w warszawskiej uczelni na sekcję symfoniczno-operową oraz wokalno-instrumentalną. Klasy fortepianu prowadzone są przez rektora uczelni Stanisława Szpinalskiego, profesorów Margeritę Trombini-Kazuro, Marię Wiłkomirską, Józefa Smidowicza, Jerzego Żurawlewa, Pawła Lewickiego, Jana Ekiera i innych. Klasy skrzypiec — przez Irenę Dubiską, Tadeusza Wrońskiego i innych. Profesorowie śpiewu o największych tradycjach, to Ada Sari i Stani Zawadzka. Przy wydziale wokalnym zorganizowane jest studium przygotowawcze dla wybitnie zdolnych kandydatów na śpiewaków, którzy nie posiadają ukończonej średniej szkoły muzycznej.

Ostatnią nowością w warszawskiej uczelni jest wydział reżyserii nagrań dźwiękowych. Powołanie go do życia wynikło z rosnącej potrzeby kształcenia fachowych mikserów i operatorów wszelkich nagrań dźwiękowych i z możliwości powiązania tego wydziału na terenie Warszawy z Polskim Radio, Filmem oraz Zakładem Nagrań Dźwiękowych.

W 1953 roku zorganizowane zostały przy warszawskiej i przy krakowskiej wyższej szkole muzycznej, jako czołowych uczelniach, studia aspiranckie dla najwybitniejszych absolwentów o szczególnych zdolnościach wirtuozowskich lub naukowo-pedagogicznych. Aspiranci, w liczbie dwudziestu kilku — pianiści, skrzypkowie, dyrygenci, kompozytorzy i teoretycy — studiują w PWSM w Warszawie pod kierunkiem wyżej wymienionych profesorów lub u wybitnych pedagogów w PWSM w Krakowie, jak w dziale fortepianu u długoletniego rektora krakowskiej uczelni prof. Zbigniewa Drzewieckiego, Henryka Sztompki i Jana Hoffmana, a w dziale skrzypiec u Eugenii Umińskiej. Program studiów aspiranckich (trzyletni) obejmuje, poza pracą nad repertuarem, praktyką pedagogiczną, metodykę nauczania, dalsze studium estetyki oraz studium dwóch języków obcych. Kandydat na ukończenie studiów aspiranckich, które uprawniają w zasadzie do objęcia stanowisk pedagogicznych w wyższych szkołach muzycznych oraz do w pełni samodzielnej działalności artystycznej, musi oprócz wykonania kilku różnych recitali i koncertów przedstawić pracę teoretyczną na temat związany z jego specjalnością.

Wszystkie szkoły muzyczne niższe, średnie i wyższe są już upaństwowione. Ilość uczniów i studentów wzrosła z 9 tysięcy przed wojną do przeszło 21 tysięcy obecnie.

Oprócz tych szkół, które mają charakter zawodowy lub przysposobienia zawodowego (szkoły pierwszego stopnia), organizowane są i szeroko rozwijają się ogniska muzyczne państwowe lub społeczne (częściowo subwencjonowane przez państwo), w których mogą kształcić się uczniowie w różnym wieku. Ogniska służą szerokiemu umuzykalnieniu, kształcą przyszłych odbiorców muzyki i aktywistów ruchu amatorskiego.

MIROSŁAW DĄBROWSKI

W państwowym liceum muzycznym — nauka gry na fortepianie

Student Wyższej Szkoły Muzycznej Leon Piwkowski zdobył w ogólnopolskim konkursie nagrodę w klasie puzonu. Szkolnictwo muzyczne zmierza do wychowania specjalistów gry na wszystkich instrumentach.

Arcydzieło Mickiewicza w oczach prawnika

Żywi są ludzie mickiewiczowskiego poematu właśnie dlatego, że pokazani są przez swoją codzienność, po brzegi pełną realiów; realiów obyczaju domowego i społecznego, zabawy i publicznego działania; realiów tak wiernych — by pozwoliły odpowiedzieć na pytanie, jak się robi — nawet jak się warzy w polu bigos myśliwski...

Te słowa Stefana Żółkiewskiego mogą posłużyć jako motto do omawianej książki.*) Myślę, że jest to jedna z najciekawszych, najbardziej oryginalnych publikacji, jakie ukazały się ostatnio na naszym rynku wydawniczym. Zwróćmy uwagę na jej podtytuł: „Studium z dziedziny problematyki prawnej „Pana Tadeusza". Brzmi to poważnie i dostojnie, lecz nie ulegajmy sugestii. Autor, z zawodu teoretyk prawa, orientuje się również niezgorzej w problematyce literackiej, a co najistotniejsze — zdradza wielkie osobiste umiłowanie przedmiotu.

SYN KOMORNIKA

I tej właśnie okoliczności zawdzięczamy pasjonującą przygodę duchową: spojrzenie na nasz narodowy poemat pod kątem zawartych w nim obfitych materiałów prawno-sądowych. Wszak kłótnia o zamek między Hrabią a Sędzią, zadawniona, jątrząca się w nieskończoność, zakończona wreszcie sławetnym zajazdem — stanowi jądro fabularne „Pana Tadeusza".

Kto sięgnie do biografii Poety, wynotuje zaraz, z jej pierwszych kart, mnóstwo interesujących nas w tym wypadku rzeczy. Mickiewicz był synem komornika mińskiego, a zarazem adwokata tzw. subseliów nowogrodzkich; już w najwcześniejszej zatem młodości stykał się z procesami szeroko w domu omawianymi, przyswoił sobie wiele terminów fachowych, poznał kruczki prawne itd. Na Uniwersytecie Wileńskim Mickiewicz studiował sławny Statut Litewski, którego język, precyzję i plastyczność określeń — bądź co bądź natury prawniczej — podziwiał zawsze jako „najharmonijniejszy ze wszystkich dialektów słowiańskich".

Na słownictwie, a nawet wielu perypetiach dramatycznych „Pana Tadeusza" owe młodzieńcze upodobania i przyzwyczajenia wycisnęły silne piętno. Takie zwroty, jak „generał trybunalski" (mowa o woźnym Protazym), „trzykrólskie święta", „woźnieński głos" i dziesiątki innych należą do terminologii ówczesnej procedury sądowej.

Autor śledzi wraz z nami, jak geniusz Mickiewicza wspaniale przetwarzał w poetyckiej stylizacji owe terminy, pozbawiając je urzędowej cięż kości.

Z kolei autor przeprowadza dłuższy, rzucony na tło obyczajowe epoki wywód o ówczesnych sądach, ich czynnościach i zakresie działania. Okazuje się, że zapiekła waśń o zamek wyrosła raczej z podłoża spraw honorowych, niż z realnych przesłanek prawnych, choć i tych przecież nie brakło.

Trzeba przyznać, że w traktowaniu strony prawnej „Pana Tadeusza" Breyer zajął stanowisko najwłaściwsze z możliwych: z jednej strony omawia najzupełniej „serio" wydarzenia poematu, jak gdyby stanowiły one rzeczywistość historyczną, z drugiej zaś — wtrąca często moment fikcji artystycznej, aby skonfrontować świat umowny ze światem prawdziwym, jaki istniał. Przy tej okazji — wypomina czasem Poecie nieścisłości (co jest nie lada smakołykiem dla czytelnika-miłośnika literatury).

Oto wykrywamy np. mickiewiczowską pomyłkę w określeniu wieku sędziego, przesadzonego o jakieś 15—20 lat, biorąc pod uwagę inne daty i okoliczności utworu, w stosunku do wieku Tadeusza, Zosi i Hrabiego.

JAK TO BYŁO Z „DZIEDZICTWEM" ZOSI?

Wielbiciel „Pana Tadeusza" zachwyca się wierszem, wzrusza przepysznymi obrazami, a jednocześnie gdy wczyta się w tekst, pojawią się niechybnie rozmaite wątpliwości — natury bardzo rzeczowej. Ot, chociażby sprawy majątkowe, tak ważne i istotne dla konstrukcji poematu.

Gerwazy nazywa Zosię „wielmożną panią", zaś jej przyszłego męża „dziedzicem zamku". A wiemy przecież, że Zosia jest biedna jak mysz kościelna, pozbawiona wszelkiego dziedzictwa. Dlaczego — powstaje pytanie — dobra horeszkowskie, których jest prawną spadkobierczynią, są zapisane na imię Hrabiego, dalekiego krewnego po kądzieli?

Breyer stwierdza, że rodzice Zosi, jako uczestnicy powstania Jakuba Jasińskiego w 1794 roku, zostali wywiezieni na Sybir, wskutek czego nastąpiła konfiskata ich dóbr. Istnieją też inne hipotezy — należy ich już jednak szukać samodzielnie w książce.

ZAJAZD CZY NAJAZD?

Niezmiernie interesujące jest również tło prawne samego zajazdu na Soplicowo. Przede wszystkim należy odróżnić zajazd od najazdu, jakkolwiek w poemacie Gerwazy myli te pojęcia. Z punktu widzenia władzy carskiej oba przedsięwzięcia, jedno surowiej, drugie nieco łagodniej, traktowane były jako poważne przestępstwo. Mickiewiczowski major Płut powołuje się na Żółtą Księgę, kodeks ustaw wojennych, stosowanych w wypadku międzysąsiedzkiego najazdu. Ekspulsja, tysiące grzywien kary i inne nieprzyjemności czekały krewkich szlachciców.

Ocierając się raz po raz o przyczynki literackie, autor nie waha się — często z niemałym powodzeniem — wstąpić w spór z takimi badaczami przedmiotu, jak Boy, Kleiner, Pigoń czy Gąsiorowski. Trzymając się wiernie, jako prawnik, faktów, tworzy równocześnie bardzo oryginalne koncepcje, dotyczące realiów „Pana Tadeusza".

Obcowanie z książką Breyera jest prawdziwą ucztą — nie tylko dla poszukiwaczy przysmaków literackich.

FRANCISZEK DEKERT

*) Stefan Breyer: „Spór Horeszków z Soplicami". Warszawa 1955. Wydawnictwa Prawnicze.

Na prawach wolnej trybuny

Nie zapominać o plastykach

W dziedzinie upowszechnienia kultury i sztuki możemy się poszczycić bardzo wielkimi osiągnięciami. Nie trzeba być pracownikiem kultury, aby widzieć olbrzymi rozwój czytelnictwa w naszym kraju i, aby widzieć przepełnione teatry czy sale koncertowe.

Mniej natomiast będzie mógł przeciętny człowiek powiedzieć o upowszechnieniu plastyki, choć i na tym odcinku mamy osiągnięcia. Jako plastyk chciałbym zabrać głos w sprawie rozwoju współczesnego malarstwa na naszym poznańskim terenie.

Ostatnio wiele się mówi, przynajmniej na zebraniach plastyków, o trudnych warunkach materialnych młodych malarzy. W Poznaniu nie ma chyba plastyka, który by żył wyłącznie z malarstwa, a jest bardzo wielu zarabiających dorywczo grafiką użytkową. Są tacy, których ustawiczne poszukiwanie i oczekiwanie na pracę zmusiło do przyjęcia normalnej pracy w różnych zakładach produkcyjnych.

Aby namalować obraz, malarz musi mieć swój własny warsztat, to znaczy, musi kupić sobie farby, płótno, pędzle, ramy i podramki (wszystkie te artykuły są bardzo drogie). Poza tym musi mieć pieniądze na życie dla siebie, a najczęściej również dla rodziny. Obraz, jeżeli przejdzie przez komisję artystyczną, znajdzie się na wystawie. Nie znaczy to, że zostanie zakupiony. Na ostatniej wystawie młodych plastyków, na ogólną liczbę 71 prac pięćdziesięciu autorów zakupionych zostało 10 prac przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Poza M. K. i Szt., nie przypominam sobie, aby jakaś inna instytucja kiedykolwiek zakupiła obraz, czy rzeźbę z okręgowej wystawy. — Chciałbym dodać, że zakupiono ostatnio tylko osiem prac nie z powodu niskiego poziomu wystawy, ale z powodu małej sumy, przeznaczonej na tę wystawę — zresztą na poprzednich wystawach był prawie ten sam stosunek prac zakupionych do ogólnej liczby wystawionych.

Nowymi odbiorcami sztuki są u nas ludzie pracy, oni kupują i czytają książki, oni chodzą do teatrów i kin, i oni również mają wpływ na rozwój tych dziedzin sztuki. Nam przecież chodzi o nowego odbiorcę, nam zależy, aby obrazy stały się bliskimi przyjaciółmi ludzi pracy — a nie, jak przed wojną, tylko bogatego mieszczaństwa. Cóż — kiedy robotnicy za mało stykają się z plastyką. W klubach czy świetlicach przyzakładowych nie znajdujemy nawet reprodukcji obrazów, nie mówiąc o obrazach czy grafice.

Mam wrażenie, że walkę o upowszechnienie sztuk plastycznych należy rozpocząć właśnie od fabryk i zakładów produkcyjnych. Każdy zakład pracy ma fundusze na cele kulturalne. — Chodziłoby o to, aby ludzie, dysponujący tymi pieniędzmi, zrozumieli potrzebę zbliżenia ludzi pracy do plastyki przez nabywanie dzieł plastycznych dla biblioteki i świetlic fabrycznych. Są z pewnością w Poznaniu zakłady, które mogłyby zakupić ze Zw. Plastyków do kilku dzieł plastycznych w przeciągu roku. Jest z pewnością także wiele innych form upowszechnienia plastyki, np. w Czechosłowacji zasłużonych sportowców czy przodowników nagradza się m. in. obrazami.

W Polsce budujemy socjalizm i dzielu temu ludzie pracy oddają swe najlepsze siły i zdolności. I my, plastycy, jesteśmy w tej walce o lepsze jutro, ludźmi, potrzebnymi społeczeństwu.

Dotychczasowe wysiłki i osiągnięcia poznańskich plastyków nie znajdowały należytego oddźwięku w naszej prasie. Ostatnia wystawa młodych nie doczekała się żadnej recenzji, a o plastyce w ogóle pisze się bardzo rzadko i od wielkiego święta. Plastycy, mimo najlepszych chęci, bez pomocy władz terenowych nie mogą przełamać trudności często uniemożliwiających twórczą pracę.

ZENON KACZMARKIEWICZ

Mózg a świadomość (II)

Jednak zbyt mało celowe

Kant dowodził, że człowiek nawet w świadomym myśleniu posługuje się pewnymi wrodzonymi, związanymi z naturą naszego umysłu sposobami rozumowania i stosuje je niemal automatycznie. Jego zdaniem — ujmujemy świat nie inaczej, tylko tak jak ujmujemy, bo tak już jesteśmy zbudowani. Te sposoby ujmowania świata, „formy rozsądku" — Kant nazywał „kategoriami".

Bez wdawania się — w poszanowaniu dla ich zawiłości — w polemikę z kantowskimi teoriami — stwierdzamy, że istotnie w zachowaniu człowieka (a tym bardziej w zachowaniu zwierząt) wiele czynności następuje automatycznie. Przekonuje nas o tym wiele naszych codziennych doświadczeń.

Mechanika instynktu

Jeśli np. przypadkowo dotkniemy rozpalonego pieca — cofniemy rękę pod wpływem bólu szybciej, niż uświadomimy sobie, że tak uczynić trzeba. Gdy z ciemnego pokoju wyjdziemy na światło dzienne — nasze źrenice zwężą się, przy czym my o tym nawet możemy nie wiedzieć. Gdy trzymamy nogę założoną na nogę i ktoś nas lekko trąci pod kolano, wykonamy gwałtowny ruch w przód, chyba że przewidując uderzenie świadomie ów odruch powstrzymamy.

Mechanizm tych **odruchowych**, wrodzonych czynności wygląda następująco: prąd nerwowy powstały pod wpływem bodźca w nerwie czuciowym, docierając do jednego z rogów tylnych (czuciowych) rdzenia przeskakuje bezpośrednio, bez pośrednictwa kory mózgowej na rogi przednie (ruchowe) rdzenia. Te ostatnie, otrzymawszy podrażnienie, wysyłają prąd nerwowy do mięśni, w których kończą się ich włókna i pobudzają mięśnie do skurczów.

Odruchy bezwarunkowe mogą się układać nawet w bardzo skomplikowane łańcuchy. Mamy wówczas do czynienia (używając określenia tradycyjnej psychologii) z instynktem.

Czasami akty instynktowe wprost zadziwiają swoją złożonością i logiką. Weźmy na przykład tok życia pospolitego owada: pszczoły-murarki.

Samica pszczoły-murarki po odbyciu lotu godowego i zapłodnieniu wygrzebuje jamkę w piasku i wykłada ją płatkami maku. Po przygotowaniu takiej kołyski dla przyszłej larwy — pszczoła zbiera pyłek z bławatków oraz nektar. Urabia z nich małą kulkę, przygotowując w ten sposób pożywienie dlą swego potomka. Następnie składa jedno jajo, przykrywa je płatkami maku, zasypuje jamkę ziemią i odlatuje, nie troszcząc się więcej co się stanie z jajeczkiem.

Po pewnym czasie z jajeczka wylęga się larwa, która następnie przemienia się w poczwarkę w końcu w dorosłą pszczołę. W odpowiednim czasie ona także, mimo że nikt jej tego nie uczył, mimo że nie widziała postępowania swych rówieśników ani matki — zachowa się w sposób identyczny jak jej matka.

O druchy bez nauki

Instynktów takich przytoczyć można bardzo długą listę. Są to przede wszystkim reakcje zabezpieczające zachowanie osobnika, gatunku. Będą to m. in. reakcje: pokarmowe, obronne, płciowe i inne, częściowo ruchowe lub wydzielnicze.

Wszystkie, nawet najbardziej złożone, specjalne układy odruchów bezwarunkowych (instynkty) i te najprostsze „pojedyncze" odruchy bezwarunkowe posiadają jednak pewne wspólne cechy.

Po pierwsze: odruchów bezwarunkowych nikt nie musi się uczyć. Są one wrodzone, dziedzicznie przekazywane z pokolenia na pokolenie. Wytworzyły się one w ciągu wielu pokoleń w toku doboru naturalnego (instynkt — to inaczej wiedza pierwotna). Po drugie: ich podłożem anatomicznym jest nie kora mózgowa, lecz rdzeń, rdzeń przedłużony lub zwoje podkorowe, tzw. węzły podstawne.

Odruch bezwarunkowy jest ponadto zawsze stereotypowy, mechaniczny, nieświadomy. Reakcja w toku odruchu bezwarunkowego powstaje tylko pod wpływem działania bodźca (np. natężenie światła wywołuje skurcz tęczówki, ból — cofnięcie ręki) i odwrotnie określony bodziec przynosi w rezultacie zawsze tę samą reakcję. Pawłow stwierdza, że między bodźcem a określoną czynnością, między określonym zjawiskiem świata zewnętrznego a odpowiadającą mu reakcją organizmu — w wypadku gdy mamy do czynienia z odruchem bezwarunkowym — istnieje za pośrednictwem układu nerwowego stałe połączenie.

Nie tylko samorodne odruchy

Układy — łańcuchy odruchów bezwarunkowych pozwalają organizmowi wiązać się ze środowiskiem zewnętrznym, zabezpieczając jego istnienie. Wywołane są one jednak przez określone i niezbyt liczne podniety. Ponadto ze względu na swą stereotypowość i mechaniczność mają one ograniczoną przydatność dla życia zwierząt i ludzi. Wobec nieustannie zmieniających się warunków środowiska, przy słabej zdolności przystosowania się odruchów bezwarunkowych do ciągłej zmiany, ciągłego ruchu i rozwoju otaczającej zwierzę i człowieka przyrody — instynkty i odruchy bezwarunkowe mogą wystarczać tylko we wczesnym dzieciństwie, przy opiece rodzicielskiej.

Organizm zdołał jednak wytworzyć o wiele bardziej doskonały, bardziej precyzyjny mechanizm, który pozwala zwierzęciu i człowiekowi na lepsze przystosowanie się do zmiennych wymogów i warunków środowiska. Mechanizm ten odkrył człowiek, który umiał zarówno zwierzęcą jak i ludzką „duszę wziąć w ręce, wziąć do laboratorium i poprzez doświadczenie badać i tłumaczyć prawa jej działania" (Iwan Pawłow).

Udowodnił on, że oprócz od dawna znanych odruchów wrodzonych (bezwarunkowych) istnieją jeszcze inne, które są nabywane w ciągu życia: odruchy warunkowe.

T. JĘDRZEJEWSKI

Młodzież polska starannie przygotowuje się do V Festiwalu Młodzieży w Warszawie. W wielu szkołach, młodzieżowych domach kultury, w świetlicach zakładów pracy już teraz wykonuje się dekoracje, które będą zdobić gmachy. Oczywiście i młodzież szkolna będzie się starała zaprezentować jak najbardziej pomysłowe plakaty, emblematy itd. W pracowniach, jak widzimy na zdjęciu, roboty huk. Starsi, doświadczeni pomagają młodocianym „plastykom".

Jaskinie XX wieku

Istnienie grot ze śladami zamieszkiwania ich przed 10 000 lat zainteresowałoby każdego archeologa, no i oczywiście byłoby wielką atrakcją turystyczną. A co powiedzieć o grotach, które liczą około 10 000 lat, a zamieszkiwane są dzisiaj przez około 18 000 ludzi?

Zanim odpowiemy na to pytanie, przypatrzmy się takim zamieszkiwanym obecnie grotom, które nie są żadnym wymysłem, lecz smutną rzeczywistością. Korespondent brytyjskiego dziennika „Manchester Guardian", Wayland Young, który pisze o nich w noworocznym numerze tej gazety, nie potrzebował opuszczać Europy, a w Europie nie musiał nawet „odkrywać" owych grot.

Leżą one bowiem w południowych Włoszech, tam, gdzie ląd otwiera się na Zatokę Tarencką. Droga do nich jest ciekawa, gdyż od początkowo bujnej roślinności nadmorskiej dociera się do wysoko położonej okolicy, gdzie krajobraz stanowią tylko skały... i ludzie jaskiniowi. Nie wiemy, co wiodło angielskiego korespondenta ku grotom. Prawdopodobnie zainteresowania turystyczne. Ale to, co zobaczył i opisał, wybiega poza takie zainteresowania, Oddajmy mu głos.

„Ile lat liczy twój dom? Może dziesięć tysięcy lat. Może dwadzieścia tysięcy. Miasto Matera liczy trzydzieści tysięcy mieszkańców, a osiemnaście tysięcy spośród nich żyje w skałach Sassi, jak nazywają się groty. Zagrodzisz otwór swej groty i już masz frontowe wejście. Zbocze układa się tarasami i twój komin, jeżeli w ogóle go posiadasz, wystaje na ulicy nad tobą. Zwykle jednak wiercisz tylko otwór w suficie, a pod nim rozpalasz ognisko, na którym stawiasz garnki. Część dymu uchodzi przez ten otwór".

Sielanka, nieprawdaż? Nic też dziwnego, że dzieci chętnie przychodzą na świat w tych grotach, zamieszkałych przez „dobre rodziny".

„Dziecko trafia do „dobrej rodziny", ale w żadnym razie nie do bogatej rodziny. Jaskiniowcy zajmują się praca na dorywcze dniówki. Przed świtem zbierają się na rynku w nadziei znalezienia pracy; gdy ją szczęśliwie co drugi dzień złapią, wracają do siebie po zachodzie słońca; 62% ziemi w prowincji Matera jest w posiadaniu 1,6% ludzi. Czynsz opłacany za grotę wynosi dwa albo trzy funty miesięcznie; właścicielem wielu grot jest Kościół, który oznacza swą własność stygmatem św. Franciszka na drzwiach."

Zapewne po to, aby poborcy czynszowi mogli łatwo orientować się po tym znaku św. Franciszka, opiekuna ubogich... Nie wszyscy zresztą muszą płacić czynsz.

„Możesz kupić grotę na własność. Jeżeli chcesz mieć więcej przestrzeni, po prostu kopiesz sobie na tyle groty" — pisze z sarkazmem angielski korespondent, ale nie wyjaśnia, jak zwiększa się czynsz wtedy, gdy lokator kopie. Za to wyjaśnia, że mieszkańcy grot uważają każdorazowe wybory za pożądane zjawisko.

„Zapytaliśmy pewną rodzinę, skąd czerpie wodę. Całkiem blisko — brzmiała odpowiedź — studnię urządzono nam tuż przed wyborami samorządowymi. Jest też światło elektryczne, ale tak ciemne, że nie przeszkadza kurom korzystać z mroku tylnych partii grot. Co 10 lub 15 grot znajduje się dół kloaczny na „ulicy", czyli nad grotami, położonymi w tarasie poniżej. Skała zaś jest porowata."

Rzeczywiście, wysoki stan „sanitarny", wysoki „poziom życiowy". Nic też dziwnego, że do codziennych pytań, jakie zadają sobie mieszkańcy grot Sassi, należą:

„Czy żona poroni z głodu, czy też nie? Czy dziecko umrze, czy przeżyje? Czy mamy dziś na kolację chleb, czy nie?"

Zwykle nie ma chleba. Bo wiele już lat trwa uparta walka „jaskiniowców" o lepszy los, ale dotychczas bez powodzenia.

„W roku 1860 wybuchło powstanie. Chłopi chcieli ziemi na własność, tak jak pragną jej teraz. Udali się do siedziby władz miejskich, gdzie właściciele ziemscy naradzali się z burmistrzem. Schwytali pewnego hrabiego, przypadkowo jedynego liberalnie nastawionego, który może bronił ich sprawy. Ucięli mu głowę..."

Wielka była nienawiść do właścicieli ziemskich. Nierówna walka trwała... bez zmiany stosunków. Walka nie tylko z właścicielami, gdyż mieszkańcy grot Sassi, wyznający religię kwakrów i baptystów, przywiezioną dawno przez reemigrantów z Ameryki, musieli walczyć także z potężnym Kościołem katolickim. Dziś z mieszkańcami grot walczy rząd, bo głosują oni masą na listy komunistyczne — budową studni i „kanalizacji" nie można ich przekupić dla rządu.

„Pewien młody człowiek opowiadał nam, jakie kłopoty miał w czasie służby wojskowej, gdy chciał zasłonić się swą kwakierską religią... Jesteś komunistą, powiedział mi oficer, staniesz przed sądem jako podejrzany..."

Tak walczy rząd Scelby o utrzymanie się przy władzy. Pomagają mu sprzymierzeńcy, potrzebujący Włoch z takim właśnie rządem, który wprawdzie obiecuje zlikwidowanie grot Sassi, ale nie spełnia tej obietnicy. Bo obietnicami chce zyskać poparcie — co zresztą się nie udaje. Po zlikwidowaniu Sassi nie miałby czego obiecywać, a więc nie miałby nawet nadziei na poparcie.

Co można powiedzieć o tych grotach? Że są hańbą dwudziestego wieku, dla średniowiecznych form wyzysku, jaki spotyka się jeszcze we Włoszech.

Z tonu artykułu wynika, że Wayland Young był też wstrząśnięty widokiem grot w Matera. Nie można jednak powiedzieć, aby dziennik „Manchester Guardian" wysnuł z istnienia tych grot jakieś wnioski. Nie darmo jest pismem brytyjskiej „liberalnej" burżuazji. Na tej samej stronie dziennik roztacza apoteozę „wolnego świata" — którego częścią są groty Sassi, jaskinie XX wieku.

A. B.

Czy interesują Cię Ziemie Zachodnie?

Na półkach księgarskich ukazała się książeczka prof. dra K. Maleczyńskiego pt. „Polskość Ziem Zachodnich".*) Temat niewątpliwie bardzo interesujący.

Autor nie przekonuje, nie zapewnia — przytacza wyłącznie fakty historyczne i liczby. A te argumenty są zawsze bezsporne.

Krok za krokiem prowadzi dr Maleczyński czytelnika szlakiem naszych dziejów, od ich zarania po dzień dzisiejszy i wykazuje — tylko i wyłącznie na podstawie udokumentowanych faktów — bezsporną polskość tych ziem. Mówią o tym wykopaliska, mówią najstarsze dokumenty, mówią zabytki kultury i sztuki, mówią fakty historyczne. Dla przykładu:

W kościele w Lubsku znajdowała się osobna kaplica, w której jeszcze w roku 1583 odprawiano nabożeństwa dla Polaków; a na przedmieściach Lubska ludność polska utrzymywała swą mowę jeszcze do XVIII wieku. We Wrocławiu w pierwszej połowie XVII wieku istnieje osobny cech polskich kuśnierzy. Jeszcze z początków XVIII w. zachowała się polska korespondencja mistrzów kołodziejów z Legnicy z panami polskimi zamawiającymi u nich karoce. W Szczecinie, Słupsku i Pile istnieją w pierwszej połowie XVII w. polskie szkoły parafialne. W Łebie i Bytowie kazania w języku kaszubskim odbywają się jeszcze w połowie XIX wieku.

Jeżeli idzie o Śląsk, tak systematycznie i intensywnie germanizowany, to urzędowe pruskie raporty stwierdziły, że wszelkie wysiłki dla zgermanizowania polskiego ludu są tu bezowocne. W książce pt. „Podróże po Śląsku" wydanej w 1792 r. pisał niemiecki autor J. G. Schummel: „Wiele miast dolnośląskich ma nazwy czysto polskie, niegdyś w dziś całkiem niemieckim Bolesławiu i Jaworze mówiono tylko po polsku. Nie wszczynajmy więc procesu przeciw polskim Ślązakom. Przed trybunałem historii przegramy go we wszystkich instancjach". We wsi Trzcianki (Ziemia Lubuska) metryki kościelne jeszcze w XX wieku wykazują 80% nazwisk polskich. Bardzo ciekawa jest wypowiedź Wincentego Pola, który podróżując po Śląsku tak opisywał w r. 1847 ówczesny Wrocław: „... wszystkie domowe sprawy załatwia lud pomimowolnie językiem polskim, wszystkie zadomowe językiem niemieckim. Rzadki dorożkarz, który by nie mówił po polsku... Służba w oberżach i kupczyki po magazynach polskie... Wszystkie napisy po sklepach są w dwu językach pisane...".

Oczywiście nie ma mowy o wyliczeniu nie tylko w krótkiej recenzji, ale nawet w dużej księdze wszystkich dowodów polskości Ziem Zachodnich. Wydaje sie jednak, że nawet ta znikoma garść faktów wystarczy, by nikt nie miał wątpliwości co do tych spraw.

Prawda o polskości Ziem Zachodnich jest tak bezsporna, że zmusiła nawet poważny burżuazyjny dziennik zachodni „Frankfurter Neue Presse" (29. XII. 1953 r.) do stwierdzenia między innymi: „W rzeczywistości roszczenia polskie nie są historycznie tak nieuzasadnione, jak to się u nas zazwyczaj twierdzi".

Jedno natomiast jest niewątpliwe, że sławetny „Drang nach Osten" od wieków był powodem licznych wojen między Polską a Niemcami, że dużo krwi polskiej polało się w obronie polskości tych ziem. Niestety, opór narodowościowy czy społeczny narodu często udaremniała zdradziecka polityka feudałów polskich oraz niemieckich, no i wyższego kleru. Siłą rzeczy w ten tętniący polskością kraj wcisnęło się sporo elementu obcego. Z czasem ziemie te — bardzo rozmaitymi kolejami losu — włączone zostały w granice państwa niemieckiego. Dopiero rozgromienie hitleryzmu doprowadziło do zjednoczenia wszystkich naszych ziem w granicach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Problem Ziem Zachodnich jest bardzo frapujący, często wymaga wyjaśnień, historycznie udokumentowanych argumentów — i z tego względu książeczka Maleczyńskiego spełni bardzo pożyteczną funkcję — i to w szerokim kręgu czytelników.

ST. O.

*) Prof. dr K. Maleczyński, Polskość Ziem Zachodnich. Wiedza Powszechna. Warszawa, 1954 r.

List do redakcji

W sprawie Kwartetu Rytmicznego

Szanowny Redaktorze!

W artykule omawiającym problemy Rozgłośni Poznańskiej Polskiego Radia zamieszczona została wiadomość o Kwartecie Rytmicznym Jerzego Grzewińskiego.

Ponieważ opublikowane przez Was dane nie są zgodne z prawdą, prosimy o sprostowanie. Kwartet Rytmiczny, którego audycje nadaje Rozgłośnia Poznańska i Warszawska, nie jest zespołem J. Grzewińskiego. W skład Kwartetu Rytmicznego wchodzą: I. Bogajewicz, J. Geisler, F. Nowak i J. Witkowski.

Kierownik administracyjny:
(—)Jerzy Geisler

OKIENKO NA ZACHÓD

Psychoanalityczny Instytut w Chicago doszedł do przekonania, że główną przyczyną zaburzeń natury astmatycznej są podniecenie i złość. Wszystkim pacjentom zostało m. in. zalecone unikanie... krewnych!

*

Uczennice liceum w Brigg (Anglia) mogą znowu nosić kołnierzyki przy swoich bluzeczkach. Zakaz przetrwał od roku 1935, odkąd wychowawczynie powzięły obawę, czy dziewczynki myją szyję.

*

Lekarz Jan Venderstraaten ordynujący w Amsterdamie wskazuje, że dłubanie w nosie przyczynia się do ogólnej poprawy zdrowia, gdyż na skutek tej manipulacji powiększają się dziurki i do płuc dochodzi więcej powietrza.

*

Brytyjski sąd wojskowy skazał niejakiego Jonathana Pilkingtona na dwa lata więzienia za opuszczenie swej jednostki wojskowej. Były żołnierz tłumaczył się, że podoficer odezwał się kiedyś do niego: „Znikaj mi z oczu, ośle jeden, abym cię więcej nie oglądał!" Pilkington wykonał rozkaz dosłownie i obecnie po ośmiu latach nieobecności został ujęty.

*

Gdy Mister Fisher z Milwaukee (USA) zapalał sobie w samochodzie fajkę, nagle buchnęło coś strasznie i w dachu wozu ukazała się wielka dziura. Powód: przypadkowo znalazła się w jego fajce kula rewolwerowa.

*

Egipskie władze widziały się zmuszone wydać drakońskie zarządzenie w stosunku do leniwych urzędników. W komunikacie radiowym ogłoszono, że wszyscy urzędnicy państwowi, którzy w godzinach urzędowych schwytani zostaną w pozycji śpiącej, będą mieli w przyszłości potrącone pobory za okres pięciu dni.

*

Jedyny więzień, który od ośmiu miesięcy przesiadywał samotnie w więzieniu norweskim Levanger, uciekł niedawno. Władze więzienne dziwiły się bardzo, ponieważ nie brakowało mu niczego. W pustej celi znaleziono kartkę z napisem: „Obrzydło mi już siawać codziennie trzykrotnie do apelu!"

*

W zachodnio-niemieckim mieście Stuttgart pochwyceni zostali fałszerze pieniędzy. Jakie było ich zdziwienie, gdy dowiedzieli się, że monety puszczane przez nich w obieg, były zbyt dobrze podrobione. Zawierały bowiem większą zawartość szlachetnych metali aniżeli monety... prawdziwe.

*

Za każdym razem, gdy pastor w angielskim miasteczku Fleetwood wymieniał podczas kazania słowo „szatan" pewna starsza dama wstawała i kłaniała się. Zinteresowało to duchownego i zapytał ją pewnego razu o przyczynę wyrażania w ten sposób szacunku „władcy" podziemi. „Ach czcigodny — odpowiedziała ona — grzeczność przecież zawsze popłaca, a poza tym na... wszelki... wypadek!"

*

„Dzięki niech będą Allahowi!" — krzyknęli chórem mieszkańcy miasteczka Al Hogeria w Arabii Saudyjskiej i upadli na kolana, gdy ujrzeli, jak wypalał się do fundamentów miejscowy urząd podatkowy; na domiar w ostatniej chwili zawiodły pompy. Z tej okazji wyznawcy Mahometa zebrali dorażną kwotę dla nieznanego sprawcy pożaru.

Zebrał — **M. J.**

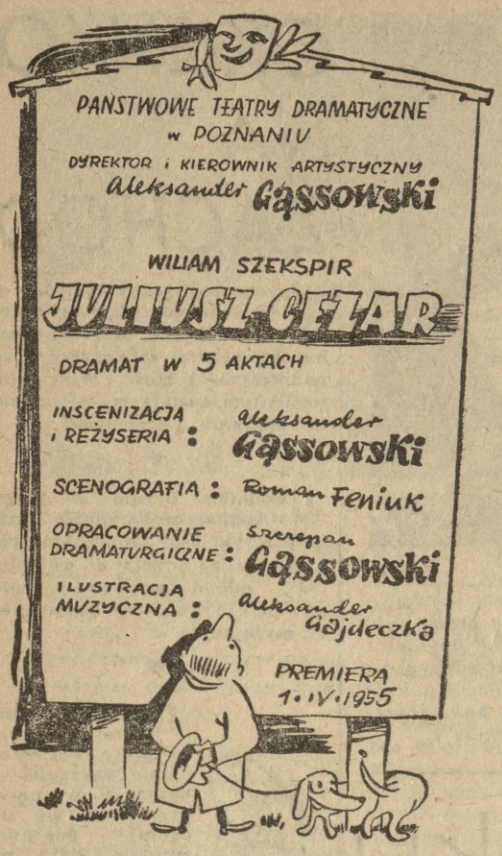

PRZEGLĄD TEATRALNY

LESZEK PROROK

SPECJALNY PRIMA APRILISOWY DODATEK „NOWEGO ŚWIATA"

OD REDAKCJI:

Pisanie o teatrach poznańskich stało się dziś w Wielkopolsce szczególnie modne, w wyniku czego podobno Komisja Kultury WRN nosi się z zamiarem rozpisania specjalnego konkursu na prawidłową i uniwersalną recenzję teatralną. Ostatnio dział korespondentów „Głosu" otrzymał dwa ciekawe omówienia cieszącej się niesłabnącym powodzeniem w Komedii Muzycznej przeróbki scenicznej powieści Arkadego Fiedlera „Mały Bizon". Autorem jednego omówienia jest tegoroczny absolwent Technikum Finansowego Nr 3 ob. Zenon Serwatko, drugie opracowali zespołowo kursanci szkolenia agrotechnicznego Zjednoczenia PGR Poznań-Południe. Obydwie wnikliwe prace zamieściny niebawem. Z dniem dzisiejszym w celu poszerzenia platformy wypowiedzi dla literatów poznańskich otwierany cotygodniowy Przegląd Teatralny.

Z programu teatralnego

STANISŁAW HEBANOWSKI

Szekspir wciąż nieodkryty

William Szekspir nie czytywał Moliera i Corneille'a, a jednak problemy, które w sztukach swych porusza, znalazły pełne ujęcie dopiero w kluczowych utworach politycznej dramaturgii francuskiej, czy będzie to dramat Musseta „Lorenzaccio", a choćby pełna politycznych aluzji „Noc wenecka" tegoż autora, czy cięty polityczny pamflet Flauberta „Kandydat".

Wróćmy jednak do „Juliusza Cezara". W tym prawdziwie demaskatorskim potępieniu rzymskiej arystokracji autor z nieubłaganą precyzją ukazuje mechanikę władzy optymatów i proces staczania się jej na pozycje zdecydowanie wsteczne. I tylko Porcja, żona Brutusa, piękny, szlachetny charakter, ratuje moralny porządek sztuki, reprezentując nurt wartości prawdziwie postępowych. Właśnie dla optymistycznej mocy, jaka przebija z miłości i godności Porcji jest „Juliusz Cezar" Wiliama Szekspira tuż za „Rozbójnikiem salonowym" Dominika Magnuszewskiego najcenniejszą z kolei pozycją tegorocznego repertuaru Państw. Teatrów Dramatycznych w Poznaniu.

SZCZEPAN GĄSSOWSKI

Garść informacji dot. sztuki

Czołowy z antycznych dramatów Szekspira był zawsze miarą ambicji każdej sceny i każdej obsady. Wystawiony po raz pierwszy w teatrze lwowskim w 1865 r. grany był później wielokrotnie. Role tytułowe kreowali uprzednio: K. Adwentowicz, J. Leszczyński, W. Rapacki, J. Węgrzyn, J. Osterwa.

Po 1945 r. „Juliusz Cezar" gościł na scenie polskiej trzykrotnie. W 1947 r. w Teatrze Miejskim w Gorzowie (pod dyr. Al. Gąssowskiego), w r. 1951 w Państw. Teatrze w Bielsku (z Al. Gąssowskim w roli głównej) oraz obecnie w Poznaniu.

Premierą sztuki Szekspira Poznańskie Teatry Dramatyczne pragną uczcić ogólnopolskie wybory do gminnych kół gospodyń wiejskich oraz 126 rocznicę zgonu zapomnianego tłumacza dzieł szekspirowskich Rajmunda Atanazego Kiczki.

EXPRESS POZNAŃSKI

Echa kulturalne Poznania

U Cezara i innych

napisał EUGENIUSZ PAUKSZTA

Nie pierwszy raz domagam się z tych łamów zasadniczego przełomu repertuarowego. Wspomnę choćby tylko felietony niżej podpisanego: „Rozpalić twórczy ogień!" (Express z 16. III. br.), „Kiedyż zapłonie znicz?" (12. II.). „Najserdeczniejszą żarty troską" (15. I.) oraz 34 felietony na ten temat w roku 1954.

Z radością stwierdzam, że uwagi moje zostały przez teatr potraktowane właściwie. Dowodzi tego ostatnia premiera. Kroczymy ku twórczej przemianie, o czym zresztą świadczy najdobitniej także ostatnie ożywienie wydawnicze. W tych dniach ukazały się na półkach księgarskich dwa pomniejsze debiuty prozatorskie oraz trzecie wydanie popularnej „Srebrnej Ławicy" Eugeniusza Paukszty z obrazkami i kuponem konkursowym Centrali Rybnej.

Gdy bohater reżyseruje...

Stale zwracam uwagę, że ta metoda na dobre wyjść nie może. Reżyser przedstawienia, dyr. Gąssowski, gra również Cezara. Efekt taki iż we wszystkich scenach widzimy dyrektora teatru, reżysera, kierownika artystycznego i Juliusza Cezara w jednej osobie, co trąci anachronizmem, gdyż jak wiadomo w Rzymie reżyserów nie znano.

Rola tytułowa nastręcza możliwości różnych interpretacji. Cezar może być wodzem ogarniętym bez reszty żądzą władzy, może być jednak sylwetką głęboko i po ludzku tragiczną, którą powikłane sprawy republiki odrywają od żony Kalpurnii (Zofia Rysiówna) i której (sylwetce — nie Kalpurnii) władza sama pcha się w ręce. Cezar-Gąssowski nie potrafił przechylić się na stronę żadnej z koncepcji. Nie stworzył też nowej.

Hanuszkiewicz Brutusem

Brutusa grał Adam Hanuszkiewicz. Aktor zdolny, sumienny, inteligentny, wahaniu potrafił nadać przekonującą widza przez cały czas przedstawienia stałość. Dlatego tak silnie wypadło słynne westchnienie z II aktu: „O! Gdybyż można zmóc ducha Cezara, a nie tknąć ciała Cezara! Niestety Cezar krew przelać musi!". Inna rzecz, iż odpowiednie wrażenie tego węzłowego momentu przygotował Al. Gąssowski całym swym postępowaniem na scenie. A nawet później w historycznych słowach Cezara z aktu następnego: „I ty, Brutusie przeciwko mnie?!", jakie rzuca Hanuszkiewiczowi wspartemu w zadumie na konsolce, dźwięczy ton świeży, jakaś nowa, własna i twórcza koncepcja tej postaci.

Czterech Cyceronów i reszta

Z innych wykonawców wspomnieć należy Kasjusza, duszę spisku. Odtwarzał go z właściwym sobie przejęciem R. Kajetanowicz. Marek Antoniusz J. Mazanka wypadł nazbyt jękliwie. Cycerona dublują na przemian: Wł. Ziembiński, K. Fabisiak, J. Kordowski i J. Dietl. W dniu premiery, w roli tej wystąpili: w I akcie — K. Fabisiak, w następnych J. Dietl. Osobne uznanie należy się Adzie Zasadziance za pełną lirycznego tragizmu rolę Porcji Brutusowej.

Pomysł przeniesienia chóru cygańskiego z „żywego trupa", jako chóru plebejuszy rzymskich nietrafny. Cyganie w owym czasie do Rzymu nie docierali. Pozostaje zresztą trudna interpretacyjnie kwestia bałałajek i harmonii. Nieraz już nawoływałem do większej dbałości o realie. Czyżby teatr nie dostrzegał recenzji w „Expressie"? Wnętrza Feniuka wielowątkowe; więc trafne. Ogólnie przedstawienie wciąż poniżej możliwości reżyserskich i aktorskich, co skłania mnie do dalszej uporczywej i równie skutecznej walki o przełom naszej sceny.

GAZETA POZNAŃSKA

BOGUSŁAW KOGUT

Kombinat teatralny i co się w nim wystawia

Uprzednio podałem, co płynie z faktu, że społeczeństwo w zasadzie nie ma wpływu na pracę teatru w Poznaniu. Teraz przykłady. Ostatnio w drodze gabinetowych decyzji wszedł tam na afisz „Juliusz Cezar" Szekspira. Próżno upatrywać w tym znamion śmiałej, bardziej ambitnej polityki, a zwłaszcza zrozumienia aktualnych, konkretnych potrzeb społeczeństwa.

Oto w dobie, gdy na szerokim froncie wypowiedzieliśmy walkę wszelkim przejawom komenderowania i szkodliwej dyrygentury, gdy walczymy o głęboko kolektywny styl życia, teatr raczy nas sztuką, która gloryfikuje in-

dywidualistyczną tyranię Cezara, Antoniusza czy pokrewnego im ideologicznie Brutusa. Kwestię obsady zostawiam na uboczu. Dlaczego np. roli Brutusa nie otrzymał jak się należało tego spodziewać aktor aktywista? A dzieje się to wszystko w chwili, gdy literat miejscowy Makary Poziomka ukończył pasjonującą konfliktem sztukę współczesną o dwóch gajowych państwowego leśnictwa pt. „Jutrzenka w chojakach" i oczekuje propozycji ze strony teatru. Sprawa tego rodzaju zapóźnień repertuarowych domaga się jak najbardziej zasadniczego ustosunkowania.

GŁOS WIELKOPOLSKI

Juliusz Cezar Szekspira w Teatrze Polskim

Zacznijmy od trudności — sztuka nie jest łatwa. Oparta wyłącznie na dialogach. Pięć aktów dialogów. Nawet gdy trafią się sytuacje, postacie też nie przerywają dialogu i mówią. Zaciera to nawet w pewnym stopniu klasowy wydźwięk sztuki, ów konflikt potentatów rzymskich, gryzących się o władzę w obliczu nędzy rzymskiego proletariatu.

O ile w programie teatrów satyrycznych — o czym pisałem niedawno — jest coś z ciastka zwanego keksem, a nadziewanego różnymi specjałami, o tyle zawiesiste, ociekające gęstym sosem życia tragedie Szekspira przypominają czerninę. Tam tutti-frutti, ananas, daktyl, figa, tu ciemno-brunatna barwa spraw tragicznych, która skrywa nieraz zjawiska twarde i gorzkie.

Należy się szczególne uznanie reżyserii AL. GĄSSOWSKIEGO za wybicie w gęstej zawiesinie powikłanych rzymskich spraw na plan pierwszy zbiorowości rzymskiej ulicy. Sceny zbiorowe, a zwłaszcza partie chóralne (podkład muzyczny Bacha, Schuberta i Olearczyka) uwydatniły oderwanie sytych patrycjuszy od mas.

Z tych pierwszych na czoło wysuwa się RAFAŁ KAJETANOWICZ jako Kasjusz .Cezara Al. Gąssowski rysował z właściwą mu szczerością i prostotą, co uwydatniło jedyną możliwą żołnierską koncepcję tej postaci.

A. HANUSZKIEWICZ ustrzegł się szczęśliwie szarży, do jakiej zachęca rola Brutusa. Porównując tę kreację z niedawnym Albinem ze Ślubów Panieńskich widać, że artyście temu odpowiada szczególnie postawa refleksyjna zarówno w miłości jak w polityce. Nie ustrzegła się natomiast biadolenia na przeciążenie męża obowiązkami społecznymi żona Brutusa — Porcja (A ZASADZIANKA). Kalpurnię kreowała poprawnie. Z.RYSIÓWNA, triumvira Oktawiana — OLECH MOLIŃSKI — nie poprawnie. A. SEWRUK, jako nauczyciel retoryki, Artemidorus był przekonywający, AL. GAJDECKI jako poeta Cynna — zupełnie nie przekonujący.

Z odtwórców Cycerona w premierowej obsadzie lepszy był J. DIETL (od II aktu) niż K. FABISIAK, choć nieco w tej roli za wysoki, aczkolwiek inscenizator ma na swe usprawiedliwienie fakt, iż Cycero na wszystkich patrzał z góry.

Dekoracje R. FENIUKA, a zwłaszcza wnętrza, choć nieco staroświeckie, ukazywały swym podobieństwem do mieszkania Protasowa z „żywego trupa", Dulskich z Zapolskiej czy Wróblewskich z „Ruchomych piasków" — trafnie i dobitnie duszną, przygniatającą atmosferę klasy, która ginie i odchodzi. W sumie nareszcie przedstawienie poprawne, o dużej wadze gatunkowej, pożyteczne ideowo i wychowawczo na obecnym etapie rozwoju sceny poznańskiej. Wracając do gastronomicznej metafory należy wyrazić nadzieję, że już wkrótce inscenizacje poznańskie uzyskają upragnioną i przejrzystą klarowność jak dobry, starannie odcedzony rosół.

J. MIL.

Z programu rozgłośni poznańskiej w dn. 2 IV godz. 17^{55}

Red. Jerzy Hoffman — Zaprosiliśmy do naszego studio Leszka Proroka, literata, interesującego się życiem teatralnym. Dzień dobry Panu. Może zechce Pan coś tak „na żywo" powiedzieć o swych wrażeniach z poznańskiego przedstawienia „Juliusza Cezara"?

Leszek Prorok — Bardzo chętnie. Powrót Szekspira powitałem z radością. Państwowy Teatr w Gnieźnie też wystawiał niedawno Szekspira. „Komedię omyłek". Gniezno dało tej sztuce szczególnie troskliwą oprawę. A wykonawcy... Kto widział uroczą Irenę Rembiszewską w roli Adriany, czy pełną wdzięku I. Charkowską jako Emilię lub chociażby ognisty temperament H. Bielawskiej, kreującej Kasię, ten dopiero poznał cały walor dramaturgii szekspirowskiej. Mężczyźni też grają, stanowią nawet w gnieźnieńskiej obsadzie znaczną większość, tym niemniej Irena Tarska jako kurtyzana...

Red. Hoffman — Tak, bez wątpienia, to ciekawe, wracając jednak do „Juliusza Cezara" w Poznaniu...

Leszek Prorok — Co, jak? Ach tak, rzeczywiście. Ciekawy, bez wątpienia ciekawy. Szekspir przecież...

Wszystkie rysunki: H. DERWICH